



Na szczęście samolot do Srinagaru nie miał opóźnień, z hukiem i przytupem wylądowaliśmy więc o czasie, czyli ok. 10tej rano. Z „przytupem”, bo maszyna jakoś ciężkavo przysiadła na pasie lotniska. „FSZCZONSŁO” dość konkretnie... W każdym razie, po odebraniu bagaży wsiedliśmy do samochodów, które przywiozły nas nad jezioro Dal, na którym na stałe zacumowane są houseboaty, a na nich mieliśmy pomieszkać przez najbliższe dni. Zanim jednak wypłynęliśmy na jezioro, zjedliśmy lunch i nakupiliśmy wody i innych napojów.

Z brzegu zabrały nas do celu łodzie zwane śikarami, które chłopcy ochrzcili shakirami. Podejrzewam, że tak bardzo jak Shakira (piosenkarka) spodobała im się śikara jako środek transportu, zwykle kolorowa, pięknie zdobiona i z wygodnymi, tapicerowanymi siedzeniami.

Dziewczyny dostały pokoje na jednym houseboacie, chłopcy na drugim, a kadra, tradycyjnie, na AMBASSADORZE. Każdy był tak samo wygodny, z salonikami, jadalniami i oczywiście sypialniami. I tego pierwszego dnia zrobiliśmy sobie „dzień dziecka”, czyli pozwoliliśmy sobie na odpoczynek i totalny luz. Spotkaliśmy się wszyscy jedynie na chwilę na houseboacie kadry, by uczcić rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego. Była więc dyskusja na temat, chwila zadumy i piosenka powstańcza odtworzona z Internetu. A potem był leżing, pranie i wnikliwa obserwacja ruchu i życia na jeziorze Dal. Następnego dnia natomiast zwiedzaliśmy Srinagar, czyli meczety na starym mieście i ogrody, cudne, ukwiecone, przyszczyżone grzecznie, z szumiącymi wodą fontannami. Woda w jednej z nich była dramatycznie zimna, o czym przekonali się śmiałkowie, pozując boso w tym lodowatym bajorku. Meczety jakoś nie przypadły im chyba do gustu. Rozczarował zwłaszcza pierwszy, stosunkowo niedawno wybudowany, ozdobiony jedynie dywanami, na których klęcząc, modlą się muzułmanie. Nasze dziewczyny też raczej nie są przyzwyczajone do tego, że jakaś przestrzeń nie jest dla nich dostępna, więc kiedy panowie weszli do meczetu, panie szanowne korzystały z toalety i żywo komentowały zwyczaje wyznawców islamu. Najstarszy meczet wszystkim nam wydał się bardziej interesujący i nie tylko ze względów architektonicznych, bo aby tam wejść musieliśmy przyrodzić długie abaje, w których chętnie pozwoliliśmy do zdjąć.

A po powrocie popływaliśmy śikarami po jeziorze zaczepiani przez oferujących różne różności handlarzy na łódkach – od szafranu, poprzez nasiona kwiatów, po biżuterię. Ale tym razem byliśmy odporni na perswazje. Nie kupiliśmy nic oprócz tego, że chłopcy zainwestowali w jakąś rybkę tudzież szaszłyki z grilla (też z łódki). Noc przespaliliśmy błogo, by rano wyruszyć na wycieczkę w plener, do Doodh Pathri, czyli doliny mleka położonej na wysokości ok. 2700 m n.p.m. Młodzież poznała tam kolegów i koleżanki z kaszmirskich szkół, którzy spędzali czas na łonie natury w ramach tzw. letnich obozów. Pogadali, pograli w różne gry, odpoczęli od klasycznego zwiedzania, a przy okazji rozpoczęli aklimatyzację na wysokości przed Zanskarem i Ladakiem.

Dni na houseboatach dały wytchnienie od zgiełku hałaśliwych miast, w których byliśmy, od upałów, wilgotności przekraczającej 90% i pozwoliły zebrać siły na pobyt w Himalajach i Karakorum. Młodzi popisywali się umiejętnością wiosłowania i sterowania łódkami, które pozwoliły im odwiedzać nas na Ambassadorze, dziewczynom zaglądać do chłopaków a chłopakom odstawiać dziewczyny do ich dryfującego apartamentu. Nie muszę chyba dodawać, że wszyscy zakochali się w Srinagarze, Kaszmirze i jeziorze Dal. Kolory



houseboatów, nenufarów, kwiatów lotosu, fruujące nad głowami ptaki, urocze kurki wodne pływające zgrabnie pomiędzy wodną roślinnością... wszystko to zachwycało równie mocno każdego z nas. Smakowało nam też domowe jedzenie, które serwowano nam na houseboatach. Na śniadania był chleb kaszmirski, wypiekany w domach, a podawany z dżemem, masłem omletami lub jajecznicą. Na kolację oprócz ryżu, były rewelacyjne przyrządzone jarzyny (fasolka, biała kapusta z ziemniakami, groszek z marchewką, kalafiorem) w cudownych sosach i - dla mięsożerców - kurczaki lub baraninka. Wypijaliśmy też hektolitry miejscowej kahwy.

Wyprawowicze odzyskali siły, wyprali brudne ciuszki (powalczyli między innymi z zapaskudzonymi przez mały w Waranasi częściami garderoby, które przetrwały atak futrzaków, bo mały okazały się koneserkami bielizny męskiej i pokradły markowe niewymowne...), nabyli drogą zakupu szale, kurty, kamizele... Jakim cudem upchnęli to wszystko do i tak po brzegi wypchanych plecaków? Nie wiem. Ale oni w ogóle świetnie ze wszystkim sobie radzą, choć nie zawsze im łatwo, bo ciągle zmagają się z problemami gastrycznymi, zaczynają coraz intensywniej i głośniejsze marzyć o polskiej kuchni, czyli o schabowych, pierogach i daniach bez garam masali, męczy ich kakofonia klaksonów, którymi rozbrzmiewają indyjskie miasta. W każdy razie, nie marudzą. Chętnie nawiązują kontakty z lokalsami, cierpliwie pozują do zdjęć i pięknie prezentują przygotowane projekty o miejscach, do których docieramy. Nie mogą się już doczekać pobytu w wysokich górach Ladakhu i spotkania z zupełnie inną, niż poznana dotychczas, kulturą. Ps. Łukasz zwany Szotem niezmiennie szuka guza, zaczepiając kronikarkę, czyli mnie.